



Krzysztof
Spadło

Skazaniec

Tom V

 Silver Lemon

Krzysztof Spadło

Skazaniec

tom V

Zawsze mnie kochaj

PROJEKT OKŁADKI:

Dariusz Herbowski

ZDJĘCIE:

Dariusz Herbowski

KOREKTA:

Marcin „Kamyk” Kamiński (dobre.media)

REDAKCJA:

Małgorzata Wawrzyniak

ISBN:

978-83-945802-9-2

WYDAWCA:

KAGO

KONWERSJA DO WERSJI E-BOOK

Marcin „Kamyk” Kamiński (dobre.media)

KONTAKT:

kago@skazaniec.com

Copyright © 2017 Krzysztof Spadło & KAGO

www.skazaniec.com

krzysztof.spadlo@skazaniec.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2017

Pamięci moich rodziców.

Jestem pewien, że wielu z was miało okazję doświadczyć w swoim życiu niespodziewanego spotkania po latach z osobą, która w przeszłości była dla was kimś bardzo ważnym. Wiecie o czym mówię, prawda? Znacie to uczucie pełne miłego zaskoczenia i szczerzej radości. W jednej chwili w duszy eksplodują wspomnienia z zamierzchłych czasów, odradzają się barwne przeżycia, a człowiek ma wrażenie, jakby cała burzliwa przeszłość zdarzyła się raptem kilka dni temu.

Ja poczułem to w majowy, upalny wieczór 1945 roku, zaraz po tym, gdy stanąłem twarzą w twarz z Wiktorem.

Ten jego gest, kiedy rozłożył swoje ramiona i nazwał mnie Stefkiem, a potem uściskał serdecznie jak brata. To była oszałamiająca chwila! Chryste Panie, czułem jak łyzy szczęścia cisną się do mych oczu i ledwo zapanowałem nad tym, żeby się nie rozplakać. Nagle cały świat stał się piękny, a życie wspaniałe. Wszystkie lata spędzone w więzieniu przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Wiktor poklepał mnie po plecach i powiedział:

- Siadaj Stefek! - Wskazał dłonią w róg pomieszczenia, gdzie stała komoda, stół i dwa fotele. - Głodny? Spragniony? Na co masz ochotę? A zresztą, po co ja się ciebie w ogóle pytam! - Podeszedł do biurka i złapał za telefon. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się, a potem rzucił do słuchawki. - Z tej strony major Kozłow! Za pięć minut w moim gabinecie ma się pojawić kucharz i niech przyniesie z sobą chleb, kiełbasę, słoninę, kiszzone ogórki, sztucce i dwa talerze!

Wiktor odłożył słuchawkę na widełki, podeszedł do okazałego kredensu, wyjął dwa kryształowe kieliszki i butelkę wódki. Usiadł

w fotelu naprzeciw. Rozlał po haku ognistej wody i wzniósł toast:

- Za nasze szczęśliwe spotkanie po latach!

- Za nasze! - odparłem.

Wychyliliśmy do dna.

- Bardzo się cieszę! Bardzo! - powiedział, a jednocześnie wyciągnął w moim kierunku dłoń, w której trzymał zwykłą papierośnicę. - To niesamowite! Niech mnie kule biją! Nigdy bym nie pomyślał, że jeszcze kiedykolwiek się spotkamy, a tu proszę! Taka niespodzianka! Niewiarygodne! - W jego słowach słyszałem autentyczny entuzjazm.

- Wiktor, nawet nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy. - Mój głos zaczynał się łamać. Nie potrafiłem zapanować nad swoim wzruszeniem. Chyba nie znam słów, za pomocą których mógłbym opisać emocje, które mnie wtedy dopadły. W głowie eksplodowało tysiące myśli, wyobraźnia puchła od wspomnień, a w duszy płonęła nadzieja, niczym pochodnia pośród mroków nocy. Siedziałem naprzeciw człowieka, który dawno temu był moim mentorem i przyjacielem. Ja w moich więziennych, zniszczonych łachmanach, a on w eleganckim mundurze majora Armii Czerwonej. Dwóch ludzi reprezentujących dwa różne światy i jedna mroczna tajemnica, która w przeszłości połączyła nas na wieki.

Przez chwilę spoglądałem mu prosto w oczy, po czym odwróciłem wzrok i zerknąłem w kierunku otwartego okna. Na dworze królował pogodny, majowy wieczór. Promienie zachodzącego słońca wpadały do pomieszczenia, a wiosenny wiatr delikatnie poruszał połą białej firany.

Spojrzałem mu prosto w oczy. Musiałem to powiedzieć. To było silniejsze ode mnie.

- Wiktor, obaj dobrze wiemy, że...

- Wiem, Stefek - wpadł mi w zdanie. - Wiem. Jestem świadom, że masz do mnie żal. To, co wydarzyło się tamtej nocy nie powinno mieć miejsca, a potem wszystkie sprawy przybrały zły obrót. - Westchnął i pogładził palcami kąciki ust. - Myślę jednak, że nie warto rozdrapywać starych ran. Nie cofniemy czasu i nie

naprawimy przeszłości. Naprawdę jest mi przykro, że tak się stało. Nie mogłem nic zrobić. Pamiętasz mojego ojca? Wiesz jakim był człowiekiem - zamilkł na moment i odwrócił wzrok w stronę biurka. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby odgrzebywał w myślach stare wspomnienia. - Nie pasowałem do burżuazyjnej rodziny Kozłowskich. Byłem jak ta przysłowiowa "czarna owca". Nie dość, że nie chciałem iść w stadzie, to jeszcze wierzyłem we własne ideały i przekonania. - Uśmiechnął się pod nosem i rzekł: - Co tu gadać, przecież znasz prawdę. - I nagle zaczął opowiadać o sobie, a ja miałem wrażenie, jakby chciał się przede mną usprawiedliwić. - Dwa dni po twoim aresztowaniu, ojciec wysłał mnie do Warszawy. Rodzice sprzedali cały majątek w Kaliszu i w maju przeprowadzili się do stolicy. Pewnie mieli nadzieję, że wszystko się zmieni, że ja się zmienię - westchnął. - Latem 1923 roku ojciec powiedział, że nie chce mnie znać, kazał mi się wynieść i iść precz. Jesienią wyjechałem do Petersburga. Zacząłem udzielać się politycznie, a z czasem przyjąłem radzieckie obywatelstwo i zmieniłem nazwisko na Kozłow. Potem wyjechałem do Moskwy. Podjąłem studia na Akademii Sztabu Generalnego i wstąpiłem do Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W 1928 roku poznałem Nadję. - Sięgnął dłonią do wewnętrznej kieszeni wojskowej bluzy i wyjął brązowy portfel. - Fantastyczna kobieta! - Podał mi czarno-białe zdjęcie. - Mądra i piękna. - Spojrzałem na uśmiechniętą twarz uwieczoną na fotografii. - Trzy lata później wzięliśmy ślub, mamy dwójkę dzieci. Chłopca i dziewczynkę. Oleg w tym roku skończył dwanaście lat, a Tatiana osiem.

Słuchałem uważnie co mówi, a jednocześnie czułem jak w głębi mojej duszy sączy się gorycz. Nie chodziło o to, że mu zazdrościłem. Bolało mnie coś innego.

Wiktor zaczął się chwalić i opowiadać o tym, jak daleko zaszedł i jaki osiągnął sukces. Z jego słów wywnioskowałem, że ma potężną władzę i jest jednym z najbliższych współpracowników Stalina.

- Znasz Stalina? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Mogę nawet powiedzieć, że nasze kontakty są bardzo zażyłe - powiedział z dumą.

- Jaki on jest?

- Josif? Dobre pytanie - odparł z uśmiechem. - Inteligentny. Urodzony przywódca. Konsekwentny, surowy i nieprzewidywalny. Zdajesz sobie sprawę, jaką trzeba mieć charyzmę, żeby władać tak ogromnym krajem jakim jest Związek Sowiecki? - Wyciągnął przed siebie dłoń zaciśniętą w pięść i uderzył w blat stołu. - Trzeba rządzić twardą ręką!

W tym samym momencie, rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - Wiktor rzucił rozkazującym tonem.

W drzwiach ujrzeliśmy mężczyznę w białym fartuchu.

- Towarzyszu majorze...

- Dobrze, dobrze! - Mój rozmówca machnął ręką i powiedział: - Dawajcie to jedzenie!

Kucharz położył na stole półmisek z gorącą kiełbasą, talerz z plasterkami słoniny, chleb i wazę, w której zamiast zupy, pływały kiszzone ogórki w zalewie.

- Na co masz jeszcze ochotę? - Wiktor zwrócił się do mnie. - Rosół z kury? Ziemniaczki? Jakiś kotlet? Schabowy albo mielony? A może pieczonego kurczaka?

- Schabowy, ziemniaki i mizerię - odparłem bez namysłu.

- Słyszeliście? - Warknął do kucharza. - Dla mnie to samo i jeszcze dzbanek kompotu, najlepiej z rabarbaru. I żebyśmy nie musieli na to czekać całą wieczność!

- Tak jest, towarzyszu majorze! - Kuchta zasalutował i wyszedł z gabinetu.

- Częstuj się Stefek! - Wiktor wskazał dłonią na stół. - Przekąśmy coś, zanim dostaniemy konkretny posiłek. - Sięgnął po butelkę z wódką. - Dobry, sowiecki samogon. - Pstryknął palcami w szyjkę i zapytał: - Smakuje ci?

- Piekielnie mocny - odparłem.

- No to na zdrowie i za nasze spotkanie! - Wzniósł kolejny toast.

Gotowana kiełbasa była przepyszna. Wiedziałem, że nie mogę jeść zbyt łapczywie, bo nieprzyzwyczajony do takich rarytasów

zołądek, mógł się w każdej chwili zbuntować.

Zanim kucharz przyniósł schabowe miałem już trochę w czubie, a prym w naszej dyskusji wiódł Wiktor. Ślizgał się po tematach i opowiadał różne rzeczy. Twierdził, że nadciągają epokowe zmiany, że Europa niebawem zyska nowe oblicze, bo Stalin ma wielkie plany.

- Już niedługo wspomnisz moje słowa - powiedział i pokiwał palcem. - Wszyscy musimy się przygotować na inne, lepsze czasy. Słuchałem go, ale myślałem, że chyba trochę wyolbrzymia.

- No dobrze, starczy o polityce i świecie. Opowiedz mi teraz o sobie. - Zmienił temat.

- Wiktor, cóż mogę ci powiedzieć? - Niewidzialna obroża ścisnęła mi krtań. - Niedługo minie dwadzieścia trzy lata, jak siedzę w tym więzieniu. Rozumiesz, to? Dwadzieścia trzy cholerne lata! Większość mojego życia spędziłem za kratami. - Nie chciałem okazać swojej słabości, ale czasami tak bywa, że trudno człowiekowi zapanować nad emocjami. Nagle świat przed moimi oczami zaczął się rozmazywać i poczułem, jak po moich policzkach cieką łzy. - Wybacz - powiedziałem i rękawem bluzy przetarłem twarz.

- Nic się nie martw. Wszystko będzie dobrze. Masz na to moje słowo!

Chyba podświadomie czekałem, żeby coś takiego usłyszeć. Jego deklaracja sprawiła, że w tej samej chwili cały świat legł u mych stóp. Nie odezwałem się, podniosłem tylko wzrok i z uśmiechem spojrzałem mu w oczy.

Mizeria była wyśmienita. Gęsta śmietana smakowała wybornie, a chrupiąca panierka na kotlecie, który był tak duży jak moje dwie dłonie, po prostu rozplywała się w ustach. Alkohol spotęgował mój głód, a ja nie jadłem jak człowiek, tylko żarłem jak wieprz. Żarłem w takim pośpiechu, jakbym się bał, że zaraz ktoś zabierze mi talerz spod nosa.

- Zdrowie! - Wiktor uniósł swój kieliszek. - Twoje! -

Wychyliliśmy do dna. - A pamiętasz, jak Trufel zrzygał się na pasterce? - zapytał znienacka.

- Jak mógłbym zapomnieć?! - Prawie parsknąłem śmiechem. - To przez te cygara, które zwinąłeś swojemu ojcu.

Wpadając sobie w zdania, zaczęliśmy wspominać tamtą sytuację. Stary Kozłowski miał udziały w dużej firmie zajmującej się przerobem stali. Jeden z kontrahentów, sprezentował mu z jakiejś okazji zestaw kubańskich cygar. Przed świętami Bożego Narodzenia, Wiktor rąbnął cztery sztuki i obiecał, że zapalimy sobie przed pasterką. Jak zwykle umówiliśmy się w parku, obok kapliczki i tam mieliśmy zajarać tytoń prosto z dalekiej Hawany. Zima 1919 roku była mroźna jak diabli. Pewnie zamiast iść do kościoła włóczylibyśmy się po mieście, ale paląc te grube cygara, zmarzliśmy jak bezdomne kundle. Nawiasem mówiąc, wcale mi nie smakowało. Za każdym sztachnięciem czułem mrowienie na języku i co rusz spluwałem, bo moje usta były pełne śliny. Trufel twierdził, że codziennie mógłby palić taką ekskluzywną rzecz, Pesteczka podzielał moje zdanie, a Wiktor jak zwykle grał znawcę, któremu nigdy nic nie było obce. Ziąb dawał w kość więc postanowiliśmy, że jednak pójdziemy na pasterkę ale tylko dlatego, żeby się ogrzać w kościele. Po drodze Pesteczka zaczął jęczeć, że jest mu niedobrze, że ma wszystko w dupie i wraca do domu. My oczywiście nie mogliśmy takiego zachowania puścić płazem. Zaraz posypały się pod jego adresem wyzwiska, drwiny i obelgi.

- Brzuszek cię boli?! To wracaj do domciu, do mamusi - zakpił Trufel. - Pomysłasz jej cycusia, to może ci przejdzie, cieniasie!

- Zamknij się gruba kicho końskiej spermy! - Pesteczka nigdy nie pozostawał dłużny.

- Idź do domciu, chłopczyku. Idź, zrób kupkę, zmów paciorek i połóż się spać - musiałem dołożyć coś od siebie.

- Ooo, tu! Każdy po kolei! - Pesteczka stanął w rozkroku i złapał się za krocze. - Cmoknijcie mnie w worek!

Chamskie odzywki, którymi raczyliśmy siebie nawzajem, były nieodłącznym elementem naszej każdej dyskusji. To była tradycja,

która narodziła się w czasach, kiedy byliśmy jeszcze smarkaczami. Cała zabawa polegała na tym, żeby ubliżyć drugiemu, obrazić go, zmieszać z gnojem i najlepiej jeszcze urągać jego matce lub ojcu za pomocą wyszukanych epitetów. Oczywiście traktowaliśmy to jako zabawę. Ja, Trufel i Pesteczka byliśmy przyjaciółmi ze specyficznym poczuciem humoru. Potem dołączył do nas Wiktor, ale on nigdy nie zniżył się do naszego poziomu. Bawiły go nasze prostackie odzywki, śmiał się w głos słysząc teksty typu: "Możesz mi possać, tylko się przyłóż, żeby mi majty wciągnęło do dupy" albo "Twój ojciec pije dlatego, bo jest załamany, że spłodził takiego kretyna jak ty!".

Gdybym wyteżył pamięć, to udałoby mi się spisać setkę takich "złotych powiedzeń".

Wracając jednak do palenia cygar i pasterki. Pesteczka ruszył w swoją stronę, a my wtedy dawaj lepić śnieżki i do ataku! Zaczął uciekać, ale oberwał kilka razy, a Trufel miał jeszcze takiego cela, że jedną kulkę posłał mu prosto w łeb. To było trafienie za dziesięć punktów.

Pasterka jak to pasterka, ludzi od groma, pełny kościół wiernych, a na dworze zimno.

- Dawajcie, ładujemy się do środka! - zdecydował Wiktor.

Przepchaliśmy się przez tłum stojący w drzwiach, a potem dalej na prawo w stronę konfesjonałów. Żadna przyjemność stać u wylotu drzwi, przez które ciągnął ziąb grudniowej nocy. Zanim ksiądz zaczął czytać ewangelię, Trufel trącił mnie łokciem i szepnął:

- Chyba mi niedobrze.

Spojrzałem na niego. Był blady jak komża ministranta.

Obróciłem się w lewo i przekazałem informację Wiktorowi.

- Tłuścioch mówi, że coś go muli.

Ten spojrzał na niego i wzruszył ramionami.

Nagle usłyszałem jak Trufel tłumi w gardle charakterystyczny dźwięk, kiedy zaczyna człowieka ciągnąć na wymioty. Zerknąłem na niego kątem oka i dostrzegłem, że raz po raz na jego twarzy

pojawia się dziwny grymas. Nie wiem czy pomyślał o tym, żeby czym prędzej ruszyć do drzwi. Nawet gdyby to zrobił, to i tak nie zdążyłby wyjść na zewnątrz. Niespodziewanie z jego ust chlusnęła fontanna wymiocin. Nasz kumpel rzygnął prosto na plecy kobiety, która stała przed nim. Niestrawione resztki wigilijnej kolacji uderzyły o szarą połąć filcowego materiału. Ludzie stojący po bokach odskoczyli, jakby ktoś rzucił pomiędzy nich granat. Śmierząca mozaika spływała po płaszczu tej kobieciny. Trufla pociągnęło raz jeszcze, ale tym razem pochylił się w przód i puścił pawia prosto na posadzkę. Przy okazji zarzygał sobie czubki własnych butów. Zrobiła się wrzawa. Nawet ksiądz zamilkł i wszyscy wierni zaczęli oglądać się przez ramię. Dziesiątki oczu wpatrywało się w Trufla. Złapałem go pod ramię...

- A potem ciągnąłeś go w stronę wyjścia - Wiktor powiedział rozbawionym tonem - a ja szedłem przodem i mówiłem "proszę zrobić miejsce, kolega się źle poczuł. Proszę zrobić miejsce!" - Modułował głos, nadając mu nienaturalny, prześmiewczy ton.

- Czas pędzi jak szalony - stwierdziłem. - Kto by pomyślał, że to zdarzyło się ponad ćwierć wieku temu. - Pokiwałem z niedowierzaniem głową.

- Wychylmy za przeszłość! - Wiktor napełnił szkło.

- Za szaloną przeszłość! - Dodałem od siebie.

Przełknąłem wódkę, położyłem kieliszek na stole i powiedziałem:

- A teraz polej po drugim, za świetlaną przyszłość!

Zaczęliśmy wspominać dawne dzieje, raz po raz zanosząc się szczerym śmiechem. Nawet nie zauważyłem, kiedy na dworze zrobiło się ciemno. Samogon szumiał mi w głowie. Wiktor sprawiał wrażenie, jakby też już miał lekko w czubie. Chwilami język mu się plątał. Wódka to zdradliwa suka, czasami wystarczy jeden łyk za dużo i już w człowieku zaczynają się budzić stare żale. Byłem jednak jeszcze na tyle świadom, żeby się pilnować i przypadkiem nie palnąć czegoś głupiego.

- A jak tam Pesteczka i Trufel? - zapytał znienacka. - Wiesz coś o nich? Miałeś z nimi kontakt?

- Nie - odparłem i nagle zrobiło mi się smutno. - Wiktor, wasza trójka zapomniała o mnie, kiedy zostałem aresztowany.

- Nie Stefek, mylisz się - rzekł, a zaraz potem dodał: - To nie jest tak jak myślisz. Teraz spoglądasz na wszystko oczami człowieka po czterdziestce, a wtedy wszyscy byliśmy zbyt młodzi, żeby zachować się... w dojrzały sposób.

- Coś ci powiem - wpadłem mu w zdanie - nie wiem jakbym postąpił, gdyby któryś z was znalazł się w mojej sytuacji. Trudno mi powiedzieć. Może masz rację? Może strach przed tym, żeby nie wpędzić się w kłopoty podpowiadałby, żeby trzymać się jak najdalej od takiej znajomości? Kiedy trafiłem tutaj, bardzo szybko zrozumiałem, że cała przeszłość przepadła i liczy się tylko dzień obecny. Czasami miewałem takie chwile, kiedy dopadały mnie wspomnienia i przypominałem sobie różne sytuacje... - zamilkłem na moment. - Tęskniłem za wami.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu.

- Ciekaw jestem, co porabiają Trufel i Pesteczka - odezwałem się, żeby przerwać tę drażniącą ciszę. - Chciałbym wiedzieć, jak chłopakom poukładało się w życiu.

- Fajnie byłoby teraz spotkać się we czwórkę - wtrącił Wiktor. - Chociaż powiem ci, że ja i Pesteczka, raczej nie przepadaliśmy za sobą.

- Wiem - uśmiechnąłem się i nagle zobaczyłem, że twarz mojego rozmówcy na ułamek sekundy zmieniła swój grymas, a w oczach Wiktora błysnęło coś niepokojącego. Pomyślałem, że nadal nosi w sercu starą zadrę, ale nie odezwałem się ani słowem. On sam zaczął mówić:

- Nie wiem dlaczego, ale utkwilo mi w pamięci to zdarzenia z dzieciństwa, kiedy Pesteczka rozsmarował mi loda po twarzy. - Postukał się palcem w skroń. - Powiedz mi, czemu tak jest? Wiele wspomnień odeszło w zapomnienie, a to akurat siedzi mi w głowie do dziś. - Swoje słowa wypowiadał w taki sposób, jakby chciał mi udowodnić, że ta banalna sprawa nadal zaprzęta mu umysł.

Za oknem zapadła już ciemna majowa noc, a my dalej

brnęliśmy w przeszłość wyłuskując z pamięci barwne wspomnienia.

W butelce została jeszcze ćwiartka samogonu, a ja czułem, że wypity alkohol nieźle uderzył mi w czerep. Raz po raz oblizywałem czubkiem języka wargi, a każdy kolejny papieros zostawiał w ustach gorzki posmak.

- A co z twoją dziewczyną? - zapytał zniechęcony mój kompan. - Jak ona miała na imię? Agnieszka? Dobrze mówię?

- Agnieszka - westchnąłem i złapałem za kieliszek. - Wypijmy za moją straconą miłość. - Przełknąłem, zagryzłem kawałkiem słoniny i rzekłem: - Odwiedziła mnie tylko raz. To było dwadzieścia lat temu. - Język mi się rozwiązał i lekko bełkocząc, zacząłem ze szczegółami opowiadać o naszym ostatnim spotkaniu. Potem o listach i pocztówkach, które przysyłała do mnie z Ameryki, o tym, że wyszła za męża, że urodziła córkę, że mieszka w Chicago, że po kilku latach rozstała się z mężem i założyła własną firmę krawiecką. O pewnych sprawach jednak nie wspomniałem ani słówkiem. Pomiąłem moją kombinatorską historię z płytą Bennego Goodmana, jak również fakt, że cała jej korespondencja spoczywa w metalowym pudełku po wiśniach w czekoladzie, które ukryłem w kotłowni.

- To miło z jej strony, że pisała - wtrącił Wiktor.

- Wiesz, miło nie miło, co innego gdybym żył na wolności... - Zamilkłem na moment, bo nie potrafiłem sprecyzować swoich myśli. Gestykułując rękoma zacząłem mu tłumaczyć: - Jesteś w parszywym miejscu, przywykasz do samotności, godzisz się ze swoim losem i nagle świat, który istnieje po drugiej stronie murów, wkracza w twoją podłą egzystencję i przypomina ci, że miałeś kiedyś inne życie. Nawet nie masz pojęcia, jak trudno mi było pogodzić się z tym faktem. Jej odwiedziny, a potem pierwszy list... Radość i nienawiść, rozumiesz? Nikomu nie życzę, żeby doświadczył czegoś takiego. Nikomu.

- W czasie wojny też do ciebie pisała? - zapytał nieco dociekliwym głosem.

- Nie. Ostatni list dostałem w lipcu 1939 roku.

Chyba nie chciałem o niej rozmawiać. W jednej chwili dopadły mnie uczucia przepełnione żalem i bliżej nieokreślonym wewnętrznym bólem, który uświadamiał mi, że straciłem w życiu to, co miałem najcenniejszego. Spojrzałem na zniszczone palce moich dłoni i ogarnął mnie smutek.

- Ale jak to powiadają - odezwałem się po chwili - nie ma takiej miłości, której nie można przepić! - Tym razem ja złapałem za butelkę i polałem.

- Co prawda, to prawda! - rzucił Wiktor. - Zdrowie!

- Zdrowie! - powtórzyłem.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział, robiąc kwaśną minę po przełknięciu palącego samogonu. - Ważne, żebyśmy byli przygotowani na nadchodzące zmiany.

- Ty będziesz rządził tym więzieniem? - zapytałem zmieniając temat.

- Nie nie - zaśmiał się. - Za jakiś czas wszystkie stanowiska zostaną obsadzone przez polskich funkcjonariuszy. Ja mam inne zadania do wykonania, ale nie mówmy o pracy - machnął ręką. - Powiedz mi jak udało ci się tutaj przetrwać?

Skoro chciał wiedzieć, to zacząłem opowiadać. Przyznałem się, że dzięki temu, iż miałem w rękach stolarski fach, moje więzienne życie było całkiem znośne.

- Ten parkiet to moja robota - pokazałem dłonią na posadzkę, a potem pochwalilem się, że zrobiłem również wyposażenie w byłym gabinecie naczelnika. Wspomniałem o pracy poza więziennymi murami, o tym jak produkowaliśmy tutaj ogrodowe meble i skrzynie na amunicję. Wiktor był też ciekaw, jak wyglądał w więzieniu powszedni dzień. On pytał, ja klepałem dziobem, a w międzyczasie zaczęliśmy opróżniać drugą flaszkę.

Byłem już nieźle wstawiony, kiedy zegar na wieży wybił północ.

W pewnym momencie pijackim głosem zadałem mu serię prostych pytań:

- Wiktor, przyjacielu, powiedz mi jak będzie ze mną? Co dalej?

Kiedy stąd wyjdę?

- Nic się nie martw Stefek. Nic a nic. Wszystko będzie dobrze. Masz na to moje słowo! - Uderzył dłonią w blat stołu. - Rano muszę wyjechać do Poznania. Zejdzie mi tam dzień lub dwa, a jak wrócę, to wszystko załatwimy - powiedział po czym wyciągnął w moim kierunku dłoń i wymieniliśmy uścisk. - Rozumiesz? Za dwa dni wszystko załatwimy jak należy. Wytrzymałeś tutaj prawie ćwierć wieku, to wytrzymasz jeszcze dwie doby! A co?! Mam rację?!

- Jak zawsze - zabełkotałem.

- Dobra! - Klasnął w dłonie. - To jeszcze po jednym i pora udać się na spoczynek.

Po chwili Wiktor podszedł chwiejnym krokiem do biurka i sięgnął po słuchawkę telefonu. Rzucił kilka słów do mikrofonu, po czym założył na głowę czapkę, obrócił się w moją stronę i powiedział:

- Wrzucić reszkę tej kiełbasy i słoniny na jeden talerz. Zabierzesz go z sobą. Przetrącisz sobie jutro w ciągu dnia. Masz fajki? - zapytał.

Pokiwałem przecząco głową.

Obszedł biurko, otworzył szufladę, wyjął paczkę papierosów i położył ją na blacie. W oczach już mi się dwoiło i troiło. Nie mogłem przeczytać ich nazwy, ale zauważyłem, że widniał na opakowaniu wizerunek wielbłąda.

- Dobre amerykańskie fajki. Najlepsze z najlepszych! Jakby ktoś zobaczył, że palę imperialistyczny tytoń, to byłaby dopiero afera - zaśmiał się. - Trzymaj - podał mi szlugi. - A tu masz też spiczki - z kieszeni spodni wyciągnął pudełko zapalek. - Nu paszli! - Otworzył na oścież drzwi.

Byliśmy w połowie korytarza, kiedy od strony wejścia pojawił się jakiś żołnierz.

Zaczął salutować, meldować, a ja patrzę na niego, trzymam w dłoniach talerz z mięsiwem i czuję, że wódka rozmiękcza mi kolana.

Wiktor spogląda na mnie i pyta:

- Jaki masz numer celi?

- Szcerystasześdziesiondczy. - Byłem tak pijany, że nie potrafiłem wyraźnie mówić.
- Jaki?! - spojrział na mnie zamroczonym wzrokiem.
- Szczterysta szeszdzisiond czy - wymamrotałem.
- Czterysta sześcdziesiąt trzy? - powtórzył wolno każdy wyraz.
- Ta jes towarzyszu majorze! - I niczym żaloszny błazen, nieudolnie strzeliłem obcasami.

To była ostatnia sytuacja, jaką zapamiętałem w miarę wyraźnie. Potem w moich wspomnieniach jawią się tylko pojedyncze kadry. Widzę jak Wiktor prężnym krokiem przekracza więzienną bramę, nagle jestem w holu głównego budynku. Z trudem wchodzę po schodach, wtęm stoję przed drzwiami celi i... zapadam się w cięmność.

O świcie obudził mnie potworny ból głowy.

Dudniący puls wściekle uderzał w skroniach z taką siłą, jakby chciał rozsadzić mi czaszkę.

Drętwy i szorstki język tkwił w moich ustach niczym knebel.

Po chwili otworzyłem oczy, ale sekundę później zamknąłem powieki, bo poświata wschodzącego słońca, która wpadała przez okratowane okno, swoim blaskiem boleśnie paliła źrenice.

Nie wiem która była godzina. Zegar na wieży uderzył dwa razy, ale po drugiej stronie drzwi panowała cisza.

Coś niedobrego działo się w moich trzewiach.

Leżąc na wznak, przypomniałem sobie słowa Suchego, który kiedyś do mnie powiedział:

- Wyglądasz tak, jakby cię ktoś zjadł, a zaraz potem wysrał.

Nie wiem jak wyglądałem, ale właśnie tak się czułem po wczorajszej libacji z Wiktorem.

Morderczy kac panoszył się w każdym zakamarku mojego ciała.

Pić... - zaskomlałem w myślach.

Usiadłem na pryczy i zmęczonym wzrokiem spojrzełem na wiadro z wodą, które stało w rogu pomieszczenia. *O Boże, dlaczego jest tak daleko?* - jęknąłem w duchu.

Stanałem na nogi, ale natychmiast oparłem się o kant stołu.

Chwiałem się jak trzcina na wietrze. Sowiecki samogon nadal krążył w moich żyłach, a ściany celi drżały i kiwały się na boki.

Uklęknąłem przed wiadrem i zaczerpnąłem miską wody. Przełknąłem kilka łyków i poczułem niebiańską ulgę. Przez kilka chwil trwałem w tej pozycji i nawadniałem swoje wnętrza. Woda to istny cud!

Moje złe samopoczucie nie miało żadnego znaczenia. W obolałej głowie kołatały się wspomnienia wczorajszego wieczoru, a w duszy tryskała nadzieja, radość i szczęście. 13 maja, data sygnowana cholerną pechową trzynastką, która niczym zły duch prześladowała mnie od lat, zyskała teraz inne oblicze.

- W końcu mój los się odmieni - szepnąłem pod nosem i pociągnąłem kolejny łyk.

Usiadłem na taborecie i spojrzałem na talerz z kiełbasą. Mięsiwo wyglądało apetycznie, ale nie byłem w stanie niczego przegryźć. Wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów. Na opakowaniu, na pierwszym planie widniał stojący na pustyni jednogarbny wielbłąd. Po lewej palmy, z prawej fragment piramidy, a u góry półkulisty napis układający się w słowo CAMEL. Rozdarłem u góry opakowanie, wyjąłem fajkę, powąchałem i pokręciłem nią w palcach, żeby usłyszeć znajomy szelest nabitego w bibułkę tytoniu.

Zapaliłem.

Pierwszy sztach był ohydny lecz miazdząca siła nałogu odniosła druzgocące zwycięstwo nad moim fatalnym samopoczuciem. Nic nie było w stanie zakłócić mojego entuzjazmu. Nic. Nawet jeśli cierpiałbym katusze. Siedziałem przy stole i ćmiłem amerykańskiego szluga, a w moich myślach tańczyły kolorowe obrazy nadciągającej przyszłości. Wiktor mówił, że musi wyjechać na dzień lub dwa, a potem wróci i wtedy wszystko będzie dobrze. Wszystko. W mojej duszy jawiły się wspaniałe wizje, oczami wyobraźni widziałem jak przekraczam więzienną bramę, jak idę przed siebie ulicą. Wolny. Swobodny. Na twarzy czuję delikatne podmuchy wiatru, promienie majowego słońca łaskoczą moje szorstkie policzki, a ponad głową błękitne,

wiosenne niebo. Świat należy do mnie. *Jeszcze dzień, góra dwa i wyjdę stąd. Opuszczę te parszywe mury i wrócę do Kalisza na stare śmieci* - szepnąłem w myślach. - *Wrócę do Kalisza i w końcu zacznę żyć jak człowiek!*

Punktualnie o szóstej zero zero odezwał się gong na sterowni, a kwadrans później więzienny korytarz zaczął tętnić życiem. Na drewnianych podestach rozlegały się echa kroków, skrzypienie kółek jadącej wydawki i odgłosy drzwi otwieranych w celach. Kiedyś było lepiej, jeśli idzie o posiłki. Bardziej normalnie. Człowiek maszerował do stołówki, mógł usiąść wspólnie z kumplami przy jednym stole i w ich towarzystwie przekąsić strawę. Można było pogadać, usłyszeć ciekawe wieści, pożartować albo ubić jakiś interes, zamieniając żarcie na papierosy. Nagle pomyślałem o tym, że jeżeli sprawy Wiktora zatrzymają go w Poznaniu dzień dłużej, to pojutrze powinienem zjeść swoje ostatnie więzienne śniadanie... *Dam radę, dam radę!* - powtarzałem w duchu.

Kiedy po drugiej stronie drzwi rozległo się szurnięcie zasuw, natychmiast podniosłem się z miejsca. Trudno z dnia na dzień pozbyć się nabytego odruchu, który został mi wpojony przez lata. Reakcja jest automatyczna. Słyszysz dźwięk i zrywasz się na równe nogi.

Żołnierz, który towarzyszył obsłudze rozwożącej posiłek, spojrzął na mnie i powiedział łagodnym głosem:

- Towarzyszu Żabikowski, śniadanie.

Dwóch więźniów odzianych w białe kitle, którzy stali przy garach, przyglądało mi się z nieukrywanym zaskoczeniem. Chyba słowo "towarzyszu" musiało w ich uszach zabrzmieć niczym magiczne zaklęcie. Ten, który rozdzielał porcje, łypnął wzrokiem na mundurowego. Wojak kiwnął porozumiewawczo głową, a on napełnił grysikiem moją miskę aż po brzegi. Dla mnie było jasne, że niebawem większość osadzonych dowie się, iż w celi numer czterysta sześćdziesiąt trzy siedzi jakiś waśniak. Plotka pomknie z ust do ust, ale to nie miało żadnego znaczenia, bo najdalej za dwa

dni już mnie tutaj nie będzie. Niech sobie gadają, co tylko chcą! A swoją drogą, słowo "towarzyszu" utwierdziło mnie tylko w przekonaniu, że lepiej być nie może.

Poniedziałek 14 maja 1945 roku, wydawał mi się najdłuższym dniem w moim życiu. I na dodatek do południa męczył mnie potworny kac. Więzienie wtedy nie funkcjonowało w ten sposób, że rano była zbiórka i wyjście do roboty. Nic z tych rzeczy. Pracowali tylko nieliczni, a pozostali siedzieli w celach i czekali na przesłuchanie. Były tylko dwa posiłki dziennie - śniadanie i kolacja.

Nie ma nic gorszego, kiedy człowiek jednocześnie jest skazany na bezczynność i własne towarzystwo. Wtedy czas jakimś cudem zwalnia swój bieg i pełźnie do przodu niczym stary, leniwy żółw. Jak jeszcze masz w głowie jakiś parszywy problem, to dramat na całego.

Męka, po prostu męka.

Wiem sam po sobie, że dusza boli bardziej niż ciało.

Na szczęście ja nie miałem powodów do zmartwień, wręcz przeciwnie. Tryskałem radością. Przetrwałem ten dzień, a większość czasu spędziłem leżąc na prycy. W myślach snułem pogodne wizje o nadciągającej przyszłości. Marzenia nabierały realnych kształtów. Zastanawiałem się jak będzie wyglądać moja podróż w rodzinne strony? Jaki ujrzę Kalisz? Jak się odnajdę w jego rzeczywistości? Czy spotkam Trufla i Pesteczkę? Czy poradzę sobie w świecie, po drugiej stronie murów? A może pojedę w inne miejsce? Może tak jak Suchy ruszę na wybrzeże? Zobaczą Bałtyk, piaszczyste plaże, posmakuję słonej wody, a w morskiej bryzie poczuję zapach jodu. Nigdy nie byłem nad morzem, widziałem je tylko na fotografiach. W górach też nie byłem. Właściwie to nigdzie nie byłem. Urodziłem się w Kaliszu, tam był mój dom, a w ciągu całego życia odbyłem tylko dwie podróże. Pierwszą, nocnym pociągiem w przedziale z zasłoniętymi oknami i pod eskortą dwóch policjantów, kiedy po rozprawie zostałem przetransportowany z Kalisza do Poznania.

Drugą, wojskową furgonetką, która zabrała mnie z aresztu garnizonu i zawiozła za bramę wronieckiego więzienia. Widziałem tyle świata, co nic.

Uśmiechnąłem się pod nosem i szepnąłem sam do siebie:

- Najwyższa pora nadrobić zaległości.

Kiedy nastała noc nie potrafiłem zasnąć. Sterczałem w oknie, paliłem szlugi i wpatrywałem się w gwieździste majowe niebo. W pewnym momencie postanowiłem, że pierwszą noc na wolności spędzę gdzieś w szczerym polu. Położę się na wznak i będę patrzył na Mleczną Drogę. Będę wpatrywał się w bezkresne niebo, będę sycił się tym widokiem, żeby wszystkimi zmysłami poczuć nieograniczoną przestrzeń. Symbol prawdziwej wolności.

We wtorek rano obsługa wydawki zjawiała się w asyście dwóch sowietów. Wojak stojący bliżej drzwi rzucił tylko jedno słowo, które o ile dobrze pamiętam, brzmiało:

- Zawtrak!

Kuchta podobnie jak wczoraj, zaczerpnął chochlą solidną porcję strawy i w mojej zdezelowanej misce wylądowało tyle kaszy, że pojadłoby trzech ludzi.

Myliłem się. Życie zweryfikowało moje wyobrażenia, bo jednak wtorek okazał się najdłuższym dniem w moim życiu. Stało się tak dlatego, że liczyłem, iż Wiktor prędzej wróci z Poznania. Właściwie, to miałem nadzieję, że tak będzie. Gdy zegar na wieży wybił południe, nie umiałem sobie znaleźć miejsca. Co rusz podchodziłem do drzwi, przykładałem ucho do krawędzi futryny i nasłuchiwałem. W duchu modliłem się, żeby usłyszeć jak prężne kroki zbliżają się po drewnianych podestach w kierunku mojej celi. Zawsze uważałem się za cierpliwego człowieka. Lata spędzone w więzieniu nauczyły mnie, że nie należy pochopnie ulegać emocjom i mieć dystans do własnych oczekiwań. Jednak w ten pamiętny wtorek, poległem na każdym froncie. Jak miałem zachować spokój i opanowanie, mając świadomość, że zbliża się koniec mojej udręki? Prawie czterdzieści pięć lat na karku, z

czego ponad połowa rzucona w rynsztok. Czy ktoś z was będąc na moim miejscu zapanowałby w takiej sytuacji nad własnymi nerwami? Szczerze w to wątpię. Moja dusza przestała należeć do dojrzałego, dorosłego mężczyzny, którym byłem. Tu w środku, tuż przy sercu, obudził się we mnie niewinny dzieciak. Szczery, radosny, szczęśliwy, przepełniony nadzieją i niecierpliwością. Ci z was, którzy mają dzieci, doskonale wiedzą, jak zachowują się wasze pociechy, kiedy mają dostać swój upragniony prezent. O mało ich nie rozerwie na strzępy, prawda? Tak właśnie było ze mną. Czekałem jak na zbawienie, żeby usłyszeć odgłos otwierających się drzwi. Wyobrażałem sobie tę cudowną chwilę, kiedy po raz ostatni przekraczam próg i zostawiam za sobą życie, którego nie powinienem nigdy doświadczyć. Widzę, jak zmiierzam schodami w dół. Stawiam kroki na kolejnych stopniach i czuję się tak, jakbym rodził się ponownie. Ten specyficzny, ekscytujący niepokój i to oczekiwanie, które mnie przepełniało, były jak pąki czerwonych róż, które dosłownie za moment mają rozłożyć płatki i ukazać oczom całego świata swoje magiczne piękno. Nic nie pomagało, żebym uwolnił się od tych intensywnych uczuć. Nic. Dreptałem w celi wte i wewte, od okna do drzwi, od drzwi do okna. Fajka. Prycza. Znowu do drzwi. Przykładam ucho, nasłuchuję. Do okna. Po drugiej stronie nic się nie dzieje. Spacerniak świeci pustkami. Nie potrafiłem się skupić, nie umiałem przekonać samego siebie, że sprawa może się przeciągnąć do jutra. Wieczorem to już bolały mnie palce dłoni, bo przez większość dnia zaciskałem je tak mocno, jakbym tym gestem chciał wyblagać u Stwórcy, żeby przyspieszył upływ czasu.

Kiedy gong na sterowni obwieścił ciszę nocą i w celi zgasło światło, zrozumiałem, że tak oto kończy się najdłuższy dzień mojego życia.

Tej nocy prawie wcale nie zmrużyłem oczu. O trzeciej nad ranem sterczałem w oknie i paliłem papierosa.

Kwadrans po szóstej zjawiała się wydawka. Tak samo jak

wczoraj, kuchtom towarzyszyli sowieccy żołnierze. Znowu usłyszałem dziwnie brzmiące słowo "zawtrak" i dziś również moje śniadanie było bardzo obfite.

Korciło mnie, żeby zapytać tego ruskiego, czy major Kozłow jest już na miejscu, ale co miałem rzec? Przecież i tak bym się z nim nie dogadał. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko czekać... czekać... czekać... No i czekałem, czując jak niecierpliwość boleśnie kąsa mi duszę. Siedziałem na pryczy i wpatrywałem się w zamknięte drzwi celi. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że cokolwiek może skomplikować sprawę. Dziś był ten dzień, który miał zostać początkiem mojego nowego życia.

16 maja 1945 roku.

Bardzo ważna data! Jak bardzo ważna? To jeszcze się przekonacie.

W pewnym momencie nawet przyszło mi do łba, że chyba ze szczęścia wytatuuję sobie tę datę na ramieniu. Zerknąłem w kierunku okna. Promienie słońca wpadały do wnętrza celi, a po drugiej stronie krat, królował piękny majowy poranek. Podniosłem się z miejsca i podszedłem bliżej. Złapałem dłońmi za pręty i wlepiłem wzrok w rozłożyste korony drzew, spoglądające na spaceriak z drugiej strony ceglatego muru. Zielone liście radośnie podrygiwały w delikatnych podmuchach wiosennego wiatru, a nieskazitelnie błękitne niebo rozciągało się, aż po kres horyzontu. Pełną piersią wciągnąłem powietrze i pomyślałem, że tak właśnie pachnie wolność. Wolność, która powita mnie dziś w swoich ramionach. W tamtej chwili nie broniłem się, nawet nie starałem się powstrzymać entuzjazmu, który rozbrzmiewał w moim sercu. Mało tego, patrząc zza krat sięgnąłem pamięcią do zamierzchłych wspomnień, żeby poczuć w duszy chociaż namiastkę tamtej zaczarowanej wiosny, kiedy wyznałem Agnieszce miłość. Widziałem ten błysk radości w jej szmaragdowych oczach, gdy drżącym głosem mówiłem, co do niej czuję. Przez ponad dwadzieścia lat tłumiliem w sobie pamięć tamtych dni, ale takich przeżyć nigdy się nie zapomina. Wydawało mi się, że pogrzebałem swoją przeszłość. Chciałem ją przekreślić,

zapomnieć, wyrzucić na śmietnik mojego życia, a teraz okazało się, że nadal pamiętam nawet najdrobniejsze szczegóły. Szelest majowych liści, szum wiatru, zapach jej włosów, dotyk dłoni, promienie słońca przebijające się pomiędzy gałęziami kwitnących kasztanów... Albo kiedy ja, Trufel i Pesteczka spędzaliśmy w parku naszą młodość, każdego dnia włócząc się bez celu alejkami. To właśnie tam, po raz pierwszy w życiu, wypiliśmy wspólnie butelkę porzeczkowego wina. Najbardziej zmogło Pesteczkę, wypił swoje, a kwadrans później padł na trawę i zasnął. Ja i Trufel trzymaliśmy fason, humory nam dopisywały, więc wpadliśmy na podły pomysł, że zostawimy naszego śpiącego kumpla na pastwę losu. To były czasy! Kurde, to były piękne czasy! Uśmiechnąłem się w duszy i szepnąłem pod nosem:

- Teraz też będzie pięknie.

Moje rozbiegane myśli wyłuskiwały z pamięci wszystkie pogodne zdarzenia.

Sięgnąłem do kieszeni po fajki. Zostały mi jeszcze trzy szlugi.

Usiadłem przy stole, zapaliłem, a w głowie zacząłem snuć kolorowe wizje nadciągającej przyszłości.

Energiczne szurnięcie zasuwki po drugiej stronie drzwi sprawiło, że zareagowałem jak należy. Poderwałem się na równe nogi, trzymając dłonie na widoku, a jednocześnie poczułem jak moje serce zrywa się do galopu. W głowie eksplodowało tylko jedno słowo - wychodzę!

W drzwiach ujrzałem rosnącego Rosjanina. Spojrzał na mnie i uśmiechając się półgębkiem, powiedział:

- Wychaditje tawariszcz! - I wskazał dłonią w kierunku schodów.

No cóż mogę wam rzec? Wzbiłem się w powietrze i frunałem. Kiedy mijałem próg celi, obejrzałem się przez ramię, a w myślach szepnąłem: - *Żegnaj na zawsze podła noro! Nie będę za tobą tęsknił!*

Ruszyłem schodami w dół, a z każdym krokiem zostawiałem za sobą moją ponurą przeszłość. Sowiecki żołnierz maszerował tuż za mną. U dołu, na korytarzu stało dwóch mundurowych i

spoglądali w naszym kierunku. Kiedy moje stopy spoczęły na terakotowej posadzce czerwononoarmieści rzucili się na mnie niczym wściekłe kundły. Nawet nie zdążyłem drgnąć, bo nie spodziewałem się czegoś takiego. Chwycili mnie za ramiona i zaczęli brutalnie ciągnąć w stronę wyjścia z pawilonu. Zacząłem się szarpać i krzyczeć. Wydzierałem się z całych sił:

- Co robicie?! Puśćcie mnie! Jestem od majora Kozłowa!

Stawiałem zdecydowany opór i próbowałem się wyrwać z ich uścisków. Nagle poczułem bolesne uderzenie w plecy. Cios był tak potworny, że miałem wrażenie, iż pękła mi nerka. Nie zdążyłem jeszcze jęknąć, kiedy posypały się kolejne uderzenia. Ten rusek, który szedł za mną jedną dłonią złapał mnie za kołnierz bluzy na karku i pchał w przód, a drugą pięścią okładał mnie niczym bokser treningowy worek. Na nic były moje krzyki. Oni wcale nie reagowali! Ciągnęli mnie prosto ku szerokim schodom wiodącym do podziemi.

- Gdzie jest major Kozłow?! - Wydzierałem się ze wszystkich sił. - Co wy wyprawiacie?! To jakaś pomyłka! Chcę... - nie zdążyłem dokończyć zdania. Poczulem potworne kopnięcie w krzyż i runąłem schodami w dół. Uderzając różnymi częściami ciała o krawędzie kamiennych stopni, turlałem się bezwiednie niczym worek kartofli. To był istny cud, że w trakcie koziołkowania nie pogruchotałem sobie kości. Podczas lądowania przyłożyłem prawym biodrem o posadzkę i w tym samym momencie poczułem potworny ból. Sekundę później sowieci doskoczyli do mnie i podkutymi butami zaczęli kopać z całych sił, a ja instynktownie zasłoniłem rękami głowę. Tańczyli wokół mnie brutalną odmianę kazaczoka. Po kilku chwilach czułem jak moje całe ciało puchnie z bólu. Nogi, plecy, brzuch, ramiona. Wrzeszczeli coś po rosyjsku i katowali mnie ze zwierzęcą zaciekłością. W pewnym momencie jeden z oprawców posłał mi zamaszystego kopniaka prosto w dłonie, którymi trzymałem się za potylicę i... zapadłem się w ciemność.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na podłodze. Wszechobecny ból

panoszył się w każdym zakamarku mojego ciała, a na policzku czułem chłód chropowatej posadzki. W powietrzu unosił się specyficzny zapach stęchlizny. Taki sam, który wypełnia pomieszczenia gdzie nie dociera światło dnia i brak jakiegokolwiek wentylacji. Uniosłem powieki, ale nic nie ujrzałem. Była tylko nieprzenikniona czerń. Rozpostarłem ręce w nadziei, że natknę się na jakiś przedmiot lub ścianę.

Nic nie poczułem.

Leżałem bez ruchu i nie pojmowałem co się właściwie stało? Dlaczego tu jestem? Co tutaj robię? Czemu jest tak ciemno?

Dookoła mnie jakaś zaklęta kraina.

Pustka, mrok i cierpienie.

Czułem, że oddycham, bo moja pierś unosiła się miarowym rytmem.

Dotknąłem dłonią mojej twarzy i syknąłem z bólu. Pod opuszkami palców wyczułem miękką opuchliznę za którą skrywało się moje lewe oko. W krzyżu łupało mnie tak mocno, jakby ktoś pogruchotał mi kręgi. *Co się stało?! Co się stało?!* - W myślach powtarzałem to jedno pytanie. Nie potrafiłem sobie niczego przypomnieć, a umysł przeszywały pojedyncze błyskawice wspomnień. Kamiennie schody, próbuję wyrwać się z uścisków, upadam na posadzkę, wyję z bólu... Ludzie w sowieckich mundurach kopią mnie bezlitośnie.

Czyżby skatowali mnie na śmierć?

Nadstawiłem uszu.

Cisza.

Głucha, tępa cisza.

Chciałem się podnieść, ale kiedy tylko spróbowałem dźwignąć swoje ciało w górę, miałem wrażenie, że najmniejszy wysiłek rozrywa mi mięśnie i kości. *Chryste* - szepnąłem w myślach. - *Czy to już koniec?! Tak wyglądają zaświaty?!* Nagle w mojej duszy obudził się paniczny strach. Wyobraziłem sobie, że leżę na gigantycznej płaszczyźnie spowitej w ciemnościach i jestem tu sam jeden, niczym ślepiec pośrodku zapomnianego świata.

- Jest tu ktoś? - Z trudem wypowiadałem każde słowo. - Hej, jest

tu ktoś?

Nagle wewnątrz czaszki rozległ się znieczeka znajomy, ochryply chichot. Rozpoznałem ten szatański rechot. To była Końska. Stara wiedźma musiała mieć teraz niezły ubaw, ale co dziwne, to jej parszywy śmiech zaczął mi się udzielać. Obłędne uczucie! W mojej głowie zaczęły kiełkować przedziwne myśli. Stwierdziłem, że Bóg okazał się oszustem, że to wszystko, ten cały raj, że to obiecane życie po śmierci, to jedna wielka bzdura. To ściema dla naiwnych. Po drugiej stronie nie ma nic. Nic. W tej samej chwili zrozumiałem, że wszystkie religie świata zostały wymyślone przez człowieka. Strach przed śmiercią i nadzieja na kontynuację własnego istnienia w innym miejscu, to dwa najważniejsze powody dla których wierzymy w nadprzyrodzone bóstwa. A smutna prawda jest taka, że kiedy wszystko się skończy, kiedy światło zgaśnie w twoich oczach, zostajesz sam.

Nie mam pojęcia ile czasu leżałem lecz nagle usłyszałem gdzieś w oddali czyjeś kroki, a wtedy śmiech Końskiej natychmiast umilkł.

Ktoś lub coś zbliżało się w moim kierunku.

Uniosłem nieco twarz i wpatrywałem się w ciemność skąd zbliżał się odgłos butów podkutych ćwiekami. Do moich uszu zaczęły również docierać dziwnie brzmiące słowa. W jednej chwili wróciła przytomność umysłu i ostatnie wspomnienia. Mój absurdalny sen na jawie rozpierzchnął się w ciemnościach. To byli Rosjanie, dwóch może trzech chłopów. Szurnięcie zasuw u stalowych drzwi, a zaraz potem skrzypiący zgrzyt zawiasów i snop oślepiającego światła. Odwróciłem wzrok i spojrzałem na moją lewą rękę, którą miałem wyciągniętą w bok. Opuszki palców dzieliło zaledwie kilka centymetrów od ściany.

- Astawtje nas! - Padła krótka komenda i w tym samym momencie usłyszałem, jak dwóch ludzi strzela obcasami i odchodzi.

Nie patrzyłem w stronę drzwi, ale doskonale widziałem cień, jaki malował się na ścianie. W drzwiach stał jeden człowiek i trzymał dłonie wsparte na biodrach.

- Żyjesz? - Do moich uszu dobiegł znajomy głos Wiktora. Nie ruszył się z miejsca. Nadal sterczał w progu w tej samej władczej pozycji, a ja w mig pojąłem, że to zły znak.

- Pytałem czy żyjesz - rzucił w moim kierunku.

Nic nie odpowiedziałem. Patrząc na cień ujrzałem jak sięga dłonią do kieszeni spodni, wyciąga papierośnicę, wkłada fajkę w usta i przypala.

- Dlaczego mi to robisz? - Zapytałem po chwili.

Podszedł bliżej, przykucnął i strzepując popiół tuż obok mojej twarzy powiedział:

- Widzisz Stefek, ty nic nie rozumiesz - westchnął z udawanym zrezygnowaniem. - Właściwie wcale się temu nie dziwię. Bądźmy szczerzy, przecież ty nigdy nie byłeś zbyt rozgarnięty. Zawsze cię uważałem za prostaka, pozbawionego wyobraźni. Głupim się urodziłeś i wszystko wskazuje na to, że głupim umrzesz. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki jesteś żaloszny? Nawet więzienne życie niczego cię nie nauczyło. Oj Stefek, Stefek... - Dmuchnął mi dymem prosto w nos.

Słuchałem jego słów i czułem, jak z każdą chwilą ogarnia mnie szalona wściekłość. Gdyby nie to, że leżałem teraz obolały i skatowany przez tych sowieckich bydlaków, to chyba rzuciłbym się na niego i zatłukł gołymi pięściami.

- Dlaczego mi to robisz? - Jęknąłem wypowiadając swoje wcześniejsze słowa.

- Dlaczego? A dlaczego świat jest podły? Dlaczego ludzie toczą z sobą wojny? Dlaczego wokół nas jest tyle zła i niegodziwości? Dlaczego istnieje takie miejsce jak to? - Machnął dłonią zataczając półkole. - Dlaczego jeszcze pozwalam ci żyć? - Kątem oka dostrzegłem jak sięgnął do kabury przytwierdzonej do pasa i wyjął broń. Jednym gwałtownym ruchem odbezpieczył spluwę. Zamek szczęknął złowieszczo, a sekundę później poczułem jak przyłożył mi lufę do skroni. - Teraz tylko wystarczy żebym pociągnął za spust i już cię nie ma! Rozumiesz?!

Leżąc na posadzce spojrzałem mu prosto w twarz i syknąłem przez zaciśnięte zęby:

- Myślisz, że się boję?! - Prychnąłem z drwiną. - No, zrób to towarzyszu Kozłowie!

- Zrobię to, co będę uważał za stosowne - warknął i zaraz potem zdzielił mnie ręką w szczękę.

Zabolało i na moment pociemniało mi w oczach.

- Boisz się, że ja głupek zacznę gadać, że opowiem ludziom prawdę o Wiktorze Kozłowskim. - W ustach poczułem smak ciepłej krwi. Splunąłem i rzekłem:

- Tego się właśnie boisz towarzyszu majorze!

Wiktor zaśmiał się, jakby usłyszał zabawny dowcip, a następnie podniósł się z kucek i schował pistolet.

- Nic nikomu nie powiesz. Będziesz milczał jak głaz.

- Jak chcesz, żebym milczał - wpadłem mu w zdanie - to musisz mnie zabić! Ale jak widać, brakuje ci odwagi. No dawaj! Zrób to!

- Mówiłem całkiem szczerze. W tamtej chwili naprawdę chciałem umrzeć. - Boisz się?! Przyłóż mi lufę do głowy i pociągnij za spust!

- Będziesz żył Stefek. Będziesz żył i milczał.

- Niedoczekanie twoje!

- A teraz słuchaj uważnie i nie przerywaj mi, bo powiem to tylko raz! - Znowu przykucnął obok. - Nie mam zamiaru cię zabijać. Martwy do niczego mi się nie przydasz. Nic mi po twojej śmierci, rozumiesz? Nic. Mam pewne plany wobec ciebie. Jeszcze możesz mi się przydać. Czasy są niepewne, świat mknie do przodu i zmienia się każdego dnia. Ten kto dzisiaj jest królem, jutro może być pachółkiem. Kto wie, może w niedalekiej przyszłości zostaniesz moją kartą przetargową? Jak to mówią, lepiej dmuchać na zimne. Ja muszę być przygotowany na każdą okoliczność.

- Gadaj zdrów! - Miałem to gdzieś, że chwilę temu kazał mi milczeć.

- Mówiłem ci, że masz być cicho! - Prawie wrzasnął i wymierzył mi siarczysty policzek. - Będziesz żył, bo taka jest moja wola. Jeżeli wpadniesz na jakiś durny pomysł i sam postanowisz z sobą skończyć, to wiedz jedno - zrobił krótką pauzę. - Pociągniesz za sobą innych. Jeśli się zabijesz, to wydam rozkaz, żeby ukatrupić

twoją znajomą z młodzieńczych lat. Panimajesz?! Mamy swoich ludzi w Ameryce. Są oddani naszej sprawie i zrobią wszystko, bez zadawania zbędnych pytań. Odnajdą ją w Chicago, a jeśli zmieniła adres, to wywęszą ją nawet na drugim końcu świata. Matka i córka będą umierać powoli, a ich obcięte głowy trafią do mojego gabinetu. Każę je włożyć do słoik z formaliną i postawię w przeszklonej gablocie. To będą moje trofea. Potem dołożę starań, żeby do ich towarzystwa dołączyli również Trufel i Pesteczka, o ile udało im się przeżyć wojnę. Jeśli chłopaki będą mieli rodziny, to ich najbliższych każę wyrzucić w pień. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Pamiętaj o tym, jeśli postanowisz się zbuntować przeciwko mnie i bez mojej wiedzy ruszysz na spotkanie ze swoim Bogiem. Od teraz jesteś odpowiedzialny za życie wielu ludzi. Czy wyrażam się jasno?

- Naprawdę sądzisz, że zależy mi na ludziach, którzy zapomnieli o mnie? Myślisz, że będę się martwił, jaki ich spotka los? - Zapytałem, choć w głębi duszy czułem coś innego.

- Stefek, to nie ma żadnego znaczenia, co ja sądzę i nie ma żadnego znaczenia czy będziesz się czymkolwiek przejmował - powiedział oschłym głosem. - To się nie liczy. Chodzi o coś zupełnie innego. Chodzi o to, żebyś miał świadomość, że konsekwencje twojego czynu poniosą inni ludzie. Rozumiesz? Jednak żebyś nie czuł się za bardzo pokrzywdzony, to gwarantuję ci, że nikt w tym więzieniu nie tknie cię nawet palcem. Nikt. Żaden strażnik czy więzień. Będziesz nietykalny. Będziesz tu żył, pracował i oczywiście jak na więźnia przystało, postępował według regulaminów i zasad. Nigdy nikomu nie opowiesz o naszej znajomości, nikomu się nie przyznasz dlaczego naprawdę tu jesteś i twoja w tym głowa, jaką sobie historyjkę wymyślisz. I szczerze ci radzę, żebyś moje żądania potraktował poważnie. Jeżeli się komuś wygadasz, jeżeli do moich uszu dotrą jakieś plotki, to spotka cię marny los i będziesz miał cudzą krew na rękach. A jeśli zaczniesz grymasić i podskakiwać, to zrobię z ciebie więźnia pod specjalnym nadzorem. Każę cię zamknąć w pojedynczej celi i przykuć do ściany. - Stał nade mną w rozkroku i trącił mnie

czubkiem buta w ramię. - Mam nadzieję, że zrozumiałeś w czym rzecz. Posiedzisz w piwnicy dwa tygodnie, ochłoniesz, zaakceptujesz układ i wszystko będzie dobrze.

- Przeklinam cię ty bandyto! - Warknąłem ze złością.

- Chyba muszę cię nauczyć szacunku - powiedział bardzo spokojnym tonem, a potem posłał mi kopniaka prosto w brzuch. - W takim razie posiedzisz tu miesiąc, może w końcu nabierzesz rozumu - rzekł, po czym obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. - Spotkamy się za miesiąc!

Leżałem w ciemnościach i miałem ochotę wyć z rozpacz.

Wtedy właśnie zrozumiałem, że Wiktor Kozłowski niczym nie różnił się od najgorszych przestępców. Kiedy słyszałem, jak jego kroki oddalają się w korytarzu, w mojej pamięci odżyły wspomnienia, a ponure obrazy jak żywe stanęły mi przed oczami duszy. Hrabia z tym swoim filmowym uśmiechem, zakrwawiona dłoń Prezesa i dłuto wystające z drugiej strony drzwi... Potem w głowie usłyszałem słowa, które Czarny powiedział do Hrabiego, tamtego pamiętnego dnia, kiedy katowaliśmy go w jednym z pomieszczeń pralni: *"Moi funfle po drugiej stronie murów zrobią z twojej kobiety tanią kurwę, odnajdą twoją rodzinę, dzieci, matkę, ojca, braci, siostry, kuzynostwo i zamienią im życie w gnój..."*. Powiem wam jedno, nawet największy twardziel słysząc takie słowa zamieni się w miękka galaretę. Taka groźba to najskuteczniejszy szantaż. Kto z was podjąłby takie ryzyko, żeby poświęcić osoby bliskie waszemu sercu w imię własnego uporu? Czasami w życiu człowieka bywają sytuacje, że musi pokornie zaakceptować narzucone warunki.

Prawdę powiedziawszy, to nic mnie już nie łączyło ani z Agnieszką, ani z moimi kumplami z młodzieńczych lat. Jednak zbyt dobrze znałem Wiktora, on nigdy nie rzucał słów na wiatr. I cóż miałem zrobić? Otworzyć sobie żyły albo założyć pętlę na szyję i odejść z tego świata ze świadomością, że niebawem ktoś inny zginie przeze mnie? Nawet dziś trudno mi stwierdzić, czy tak by się stało? Wiedziałem natomiast, że moja śmierć rozwścieczyłaby Wiktora. W przeszłości nigdy nie potrafił

zaakceptować, żeby coś potoczyło się wbrew jego planom. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jeśli targnąłbym się na swe życie to wtedy on, opętany wściekłością, dotrzymałby obietnicy. W głowie dźwięczały mi jego okrutne słowa - *"Matka i córka będą umierać powoli, a ich obcięte głowy trafią do mojego gabinetu. Każę je włożyć do słoik z formaliną i postawię w przeszklonej gablocie."*

Myślę, że major Kozłowski spełniłby swoją potworną groźbę.

W karczerze, poczucie upływającego czasu jest pojęciem abstrakcyjnym. Cykl istnienia odmierzają podawane posiłki, które dostajesz dwa razy na dobę. Najpierw zaczynasz liczyć ile razy otworzyły się stalowe drzwi, a strażnik kładzie michę na progu. Nim zdążysz pochwycić ją w dłonie, zamykają się wrota i znowu jest ciemno. Po omacku szukasz wiadra z wodą i bomby, które stoją w jednym z czterech kątów. Obrócisz się ze dwa razy na podłodze i już nie wiesz w którą pełznąć stronę. Zegar biologiczny zaczyna wariować. Masz wrażenie, że bezustannie śpisz i budzisz się kompletnie zmęczony. Przestajesz zwracać uwagę, że coraz częściej gadasz sam do siebie. Stawy i plecy dają się we znaki. Podnosisz się z podłogi i zaczynasz maszerować w miejscu. Ruszasz się, żeby nie zardzewieć. Nie wiem czy węch zaczyna szwankować, czy po prostu przywykasz do smrodu, bo przestajesz zwracać uwagę, że z bomby cuchnie jak ze świńskiej dupy. Chwila wytchnienia przychodzi wtedy, kiedy strażnicy uzupełniają wiadro z wodą i opróżniają twój kibel. Nie patrzysz na światło wpadające do celi, odwracasz wzrok, bo oczy aż płoną z bólu. Masz zamknięte powieki, a i tak widzisz jasny blask, jakby ktoś zapalił milion świec. Czujesz jak w nozdrza uderza świeże powietrze i słyszysz przekleństwa strażników narzekających na smród, jaki panuje w twojej celi. Potem masz wrażenie, jakbyś utkwiał w pętli czasu, bo przeżywasz to ponownie. I zaczynasz się zastanawiać, czy od ostatniego razu upłynął rok czy tylko tydzień? Tydzień? A może trzy dni? Głaszczesz się dłonią po szorstkiej szczecinie na policzkach i głupiejesz na dobre. Już nie wiesz w co

wierzyć i zaczynasz się zastanawiać, dlaczego twój zarost tak wolno rośnie?

Karcer to jedno z najbardziej okrutnych miejsc, jakie wymyślił człowiek. Nie wiem do czego porównać ciemną i zamkniętą celę, żeby oddać chociaż namiastkę uczuć, jakie towarzyszą osobie uwięzionej w takim pomieszczeniu. Nie chodzi mi o to, czy ktoś został tam słusznie wtrącony, czy trafił przez pomyłkę. Nieważne czy jesteś grzesznikiem, czy świętym. W nieprzeniknionym mroku, gdzie otula cię tylko chłód, gdzie ze ścian sączy się wilgoć, a powietrze cuchnie stęchlizną, czai się obłąd. Jest tuż obok ciebie, ale nie gryzie i nie kąsa, tylko cierpliwie czeka. Unosi się, krąży, niekiedy szepnie ci coś do ucha albo zaśmieje się szyderczo, jakby chciał sprawdzić, czy już jesteś gotów, żeby mu ulec.

Jestem pewien, że każdy człowiek czegoś się boi. Każdy doświadczył uczucia strachu. Niektórzy ludzie noszą w sobie lęk od dzieciństwa. Jeden bał się wyimaginowanych potworów, które żyją w ciemnościach, drugi duchów albo wampirów, ktoś inny drżał ze strachu słysząc odgłosy burzy albo syk węża. Czasami strach jest potęgowany obrzydzeniem do jakichś istot. Sami pewnie znacie ludzi, którzy twierdzą, że nienawidzą na przykład szcurków, myszy, oślizgłego robactwa czy włochatych pajaków. Mam rację, prawda? I teraz wyobraźcie sobie, że karcer to portal, który przenosi was prosto do świata waszych najmroczniejszych obaw. Będąc małym chłopcem zawsze bałem się upiorów. Nie wiem z jakiego powodu tak było. Może to przez mojego dziadka, który dość często raczył mnie przerażającymi historyjkami na dobranoc? Staruszek potrafił bardzo obrazowo opowiadać. Czasami zniżał głos, przerywał w pół zdania, spoglądał w kierunku okna za którym czaiła się noc i pytał znienacka:

- Słyszałeś ten trzask?

Skulony pod pierzyną, nadstawiałem uszu i ze strachem zerkałem w szyby w których odbijał się blask naftowej lampy.

Po chwili mój dziadek uśmiechał się dobrodusznie i stwierdzał:

- Chyba mi się zdawało - po czym dalej toczył swoją opowieść. Pamiętam te chwile, kiedy leżałem w łóżku i chowałem głowę pod pierzynę, żeby się ukryć przed duchami. Niby się bałem, ale jednak zawsze palcem rozchylałem wąską szczelinę pomiędzy poszewką poduszki a pierzyną, żeby jednym okiem móc patrzeć w stronę okna.

Na skwerku przed naszą kamienicą rósł rozłożysty kasztan. Nocą, kiedy księżyc świecił na niebie, cienie gałęzi wpadały do izby, a ich przedziwne kształty malowały się na podłodze i sprzętach. Oczywiście w takich chwilach moją wyobraźnię napędzał strach. Najgorsze jednak stało się pewnej jesieni. Późnym popołudniem mój dziadek postanowił zgrabić na stertę opadłe liście i spalić je na popiół. Uprzątnął cały skwerek i czort wie, dlaczego kiedy skończył, to nie podłożył ognia? Późnym wieczorem przypomniał sobie, iż nie dopełnił dzieła. Ja szykowałem się już do snu, a staruszek nabił tytoniem swoją wysłużoną fajkę i wyszedł na zewnątrz. Leżałem w łóżku, moje powieki powoli zaczynały się zamykać, a wtem widzę, jak po drugiej stronie okna unosi się w powietrzu jakaś drżąca zjawia! Rośnie, wykręca się w nienaturalny sposób, rozciąga, ma podłużną twarz, a jej macki głaszczą tafle szyb jakby szukały szczeliny, przez którą mogą przecisnąć się do środka i dopaść mnie! Zacząłem wrzeszczeć z przerażenia i wyrwałem z łóżka jak oparzony. Wpadłem do kuchni z krzykiem:

- Mamo upiór za oknem! - Rzuciłem się w jej kierunku i przytuliłem do niej z całych sił, nie zważając na to, że właśnie stała przy kuchni i coś gotowała.

Drżałem ze strachu, podskakiwałem w miejscu i pocierałem udami, żeby nie zsikać się w gacie.

- Stefek, na litość boską! - Mama przeżegnała się szybko. - Dziecko drogie, co ty mówisz?

- Mamo naprawdę za oknem jest coś strasznego! - Byłem bliski płaczu.

- Nie bój się synku - powiedziała - chodź, przepędzimy te brzydkie straszidło. - Pochyliła się nieco i pokazała mi, że trzyma w dłoni warzechę.

Złapałem kurczowo za jej drugą dłoń. Mama pchnęła uchylone drzwi do izby.

- No, gdzie ten upiór? - Zapytała.

- Za oknem!

- Chodź, podejmiemy bliżej, a jak się tam pojawi, to trzepnę go prosto w łeb!

Zatrzymaliśmy się przy łóżku.

- Czujesz? - Zbliżyła swoją twarz do mojej i zrobiła taki grymas, jakby chciała powiedzieć, że powietrze pachnie inaczej. - Coś mi się wydaje, że dziadek pali liście na dworze, a ty zobaczyłeś jak za oknem unoszą się kłęby dymu - spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i dała mi całuska w czoło. - Wskakuj do łóżka, o tej porze wszyscy mali chłopcy już śpią.

Zrobiłem co mi kazała.

- Posiedzisz przy mnie, aż zasnę? - Zapytałem, a zaraz potem zrobiłem błagalną minę i dodałem najśłodszy tonem na jaki potrafiłem się zdobyć: - Mamo, proszę.

- No pewnie, że zostanę i poczekam, aż zamkną się te moje najukochańsze oczęta.

Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale sędzę, że będąc jeszcze dzieciakiem wymyśliłem swojego upióra, którego wiele lat później ochrzciłem imieniem - Końska. Sam sobie stworzyłem zmore, podłą towarzyszkę, która długo czekała, żeby wkroczyć w moje życie. To ja powołałem ją do życia. To ja nadałem jej kształty, to dzięki mnie Końska wyglądała tak, jakby jej nieziemska materia została utkana z dymu i mgły. To ja przywdziałem ją w postrzępione łachy. To dzięki mnie, jej głos brzmiał jak skrzypienie starych zawiasów u wrót wiodących do grobowej krypty. Ona jest ucieleśnieniem mojego strachu. Nieproszona, przybywa zawsze w chwilach słabości i zrezygnowania. Zawsze wtedy, kiedy wszystko wydaje się beznadziejne, kiedy niemoc ściska za serce, kiedy w duszy gaśnie nadzieja, a w głowie krążą myśli, że pora pożegnać się z tym światem.

Mógłbym teraz zrobić z siebie bohatera i napisać w jednym zdaniu, że w karcerze było ciężko, a ja stary galernik, spokojnie dałem radę przetrwać miesiąc w ciemnościach. Dwie rzeczy się zgadzają - było ciężko, a ja przetrwałem. Jednak jaką cenę przyszło mi za to zapłacić, to już zupełnie inna sprawa. Nigdy więcej nie trafiłem do karceru. Po wyjściu z ciemności obiecałem sobie, że choćby nie wiem co, to nie dam się tam zamknąć nawet na pięć minut. Nawet jeśli miałbym to przypłacić życiem. Swoim lub innych ludzi. Drugi raz nie zniósłbym takiej izolacji.

Przez pierwsze dni nie mogłem zaznać spokoju, nie potrafiłem przestać myśleć o tym, co zrobił mi Wiktor. Nie mogłem pojąć - dlaczego?! Nic mi nie wyjaśnił. Mówił ogólnikami. Usłyszałem tylko, że czasy są niepewne, że mogę zostać jego kartą przetargową, że ma wobec mnie jakieś plany... Same frazesy i żadnych konkretów. Oczywiście najmocniejszym argumentem był ten jego bandycki szantaż. Skurwiel wiedział jak zagrać na emocjach, miał o tym pojęcie. Dałbym sobie obciąć głowę, że w ten sposób zastraszył w swojej przeszłości wielu innych ludzi. Oby sam kiedyś doznał tego uczucia i drżał o bezpieczeństwo swoich najbliższych. Życzyłem mu tego z całego serca. Najpierw gorliwie modliłem się o to, a potem nawet chciałem z Końską zawrzeć pakt, oferując w zamian własną duszę. Oko za oko, ząb za ząb! W moim umyśle malowały się krwawe wizje i bestialskie sceny przy których opowieści Dantego o piekle, wydawały się jedynie niewinną igraszką. To było tak silne i tak intensywne, że nawet słyszałem głosy. Do dziś nie wiem, czy były to jęki ludzi, których poddawano brutalnym przesłuchaniom w którejś z cel obok, czy te wrzaski rodziły się w mojej wyobraźni? Nie chcę się na tym skupiać, nie chcę sobie tego przypominać, bo to nie jest nic dobrego. Nie potrzebuję teraz tłoczyć sobie jadu w duszę.

Od dwóch dni prawie nic nie napisałem. Siedziałem przy stole, piłem herbatę, jarałem fajki i grzebałem we wspomnieniach.

Mój pobyt w karczerze odcisnął się głębokim piętnem na mojej psychice. Okaleczył mnie. Wiem o tym, chociaż z drugiej strony na pewno jest ze mną coś nie tak, jak być powinno. Za dużo lat spędziłem za kratami. Nie zrozumcie mnie źle. Nie uważam się za człowieka, którego inni mogą zaklasyfikować do kategorii ludzi, o których mówi się - niebezpieczny. Nie chcę nikomu robić krzywdy, nie mam zamiaru nikomu szkodzić, czy stwarzać jakieś niepotrzebne problemy. Chociaż psi chujek, kierownik Bugajczyk, ma chyba inne zdanie na ten temat, ale to zupełnie odrębna historia. Jestem już starcem i nie obawiam się tego, że mogę za moje przekonania oberwać po gębie.

Sędziwy wiek ma swoje przywileje.

Wczoraj była niedziela, a że przywykłem do tego, iż niedziela to dla mnie najbardziej leniwy dzień tygodnia, to nawet nie gotuję obiadu, bo mi się nie chce. Około południa przetrąciłem dwie kromki chleba ze smalcem i postanowiłem pójść do parku. Pomyślałem, że dobrze mi zrobi, jeśli dotlenię umysł. Może wymyślę jak w miarę krótko i sensownie opisać swój miesięczny pobyt w karczerze, żeby za bardzo nie brnąć w parszywe wspomnienia. Usiadłem na ławce i spoglądając na rozłożyste korony zielonych drzew malujące się na tle błękitnego nieba, zacząłem dumać. Lubię chodzić do parku. Tam wszystkie pogodne popołudnia wyglądają podobnie. Nikt się nie śpieszy, ludzie spacerują alejkami, spędzają z sobą czas, po prostu odpoczywają. Siedziałem na ławce, która nie chowała się w cieniu drzew i czując na całym ciele promienie majowego słońca, wygrzewałem swoje stare kości. Zwróciłem uwagę na wysokiego mężczyznę, który kilka chwil temu zatrzymał się w miejscu po drugiej stronie skwerku. Miał przewieszoną przez ramię marynarkę i starał się przypalić papierosa. Najwyraźniej jego zapalniczka odmówiła już posłuszeństwa. W końcu chyba stracił cierpliwość, bo wyjął z ust fajkę, splunął w bok i ruszył przed siebie. Łypnąłem wzrokiem w drugą stronę. Wysoki chłopak i niska, otyła dziewczyna szli wolno przed siebie, trzymając się za ręce. Wyglądali nieco komicznie, ale sprawiali wrażenie szczęśliwych. Wtem kilku roześmianych

dzieciaków przemknęło obok mnie pędząc ile sił na rowerach. Uśmiechnąłem się pod nosem i stwierdziłem, że chyba im zazdroszczę. Przyszedłem tu z myślą, że poukładam sobie w głowie co nieco, ale klimat tego miejsca sprawił, że dumałem o czymś zupełnie innym. W pewnym momencie usłyszałem kobiecy głos. Wiecie jak to jest, kiedy nie widać postaci, tylko słyszać jej głos. Po jego barwie można określić czyjś wiek, prawda? No właśnie. Z tyłu dociera do moich uszu, jak starsza kobieta mówi:

- Wiktor, możesz mi pomóc?

W jednej sekundzie poczułem jak fala gorącego ciepła przemierza moje ciało od pięt po czubek głowy. Mam alergię na imię Wiktor. Prawdopodobieństwo, że spotkałbym w parku lub na ulicy właśnie tego Wiktora, tego, który zniszczył mi życie jest takie samo, jak moja podróż na Madagaskar. Bardzo ale to bardzo wątpliwa, aczkolwiek niewykluczona. Powoli obróciłem się przez ramię i dostrzegłem młodego człowieka, jak majstruje coś przy kółku spacerowego wózka w którym smacznie spał mały człowieczek. Zmierzyłem wzrokiem kobietę. Jak na moje oko, była po sześćdziesiątce i pewnie wyszła z wnukiem lub wnuczką na spacer, a ów pomagający Wiktor mógł być jej synem lub zięciem. Jednak ta krótka chwila wystarczyła, żeby mój umysł zmaściły myśli, co by było gdyby... No właśnie, kurwa mać! Co by było, gdybym spotkał jeszcze w swoim życiu Wiktora Kozłowskiego?!

Całe wczorajsze popołudnie i wieczór miałem z głowy. Zamiast zająć się tym czym powinienem, zacząłem rozmyślać o pierdołach, raz po raz zerkając w kierunku miejsca, gdzie pod deskami parkietu ukryłem Lugera...

Nie wiem co bym zrobił, jeśli zdarzyłoby się owe "gdybym".

Po prostu nie wiem!

Ja, tak samo jak każdy z was, mam swoje zwyczaje. Kiedy rano wstaję najpierw włączam radio, a potem zaliczam kibelek. Później idę do kuchni i nastawiam czajnik z wodą. Zaparzam szklankę herbaty, siadam w moim wysłużonym fotelu i sięgam po papierosa. Wiem, że to niezdrowo, ale tak właśnie wygląda mój